Rok IV.

Nr. 38. Nr. 38.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 19 września 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Od Redakcji.

Uprasza się o wczesne zamówienie przedpłaty na kwartał następny, gdyż stanowczo nie będziemy drukowali, dla oszczędności, exemplarzy nadliczbowych. Z bieżącego rocznika wyczerpane już są zupełnie numera 1, 2, 3, 4, 5, 6, 10, 11, 12, 21, 25 i 27, — których nie mogliśmy nowym prenumeratorom przesłać. Ponieważ powiastka z włoskiego „Niźnik winny" Salwatora Farina, jak i z hiszpańskiego „Król, rycerz, sędzia" przeciągną się w numera kwartału czwartego, przeto zgłaszającym się nowym prenumeratorom prześlemy numera 37, 38 i 39, — a tym co zaabonowali się na kwartał III, w ciągu onegoż również na żądanie prześlemy odbitkę powieści pani E. z Kurowskich Puffke „Tajemniczą szkatułkę" w miejsce brakującego numeru 27go.

Słówko o „Weście" i do „Westy."

W „Obrachunku sumienia" w Nr. 36 mówiliśmy ogólnie o naszych publicznych instytucjach. Dziś przystępujemy do szczegółów.

Przepraszamy, że w piśmie naukom poświęconém ośmielamy się pouczać patrzących na swojskie rzeczy: jak się widzi sercem, — ze stanowiska naukowo-moralnego, — roboty naszych wielkorządzców naszego wdowiego, dla publicznego dobra danego grosza. Doprawdy! To jest nam najpotrzebniejszém, bo u nas najwięcéj zaniedbaną jest nauka moralności, — i dla tego, o ile można, najwierniéj trzymamy się naszego programu, w numerze pierwszym założonego. Ta nauka nam najpierwsze przywróci siły.

Dziś rozpatrzmy się we „Weście."

* * *

W Nr. 202 „Dziennika Poznańskiego" czytaliśmy co następuje:

„W dniach 2 i 3 b. m. odbyło się zwyczajne zebranie Rady zawiadowczéj „Westy", na które członkowie téjże w komplecie się stawili. Z sprawozdania przedłożonego Radzie zawiadowczéj ze strony Dyrekcji banku, wyjmujemy następujące dane: Pomimo ogólnego zastoju w handlu i przemyśle, cieszyła się „Westa" szybkim a regularnym postępem czynności swoich. Aż do dnia 1 września r. b., to jest w przeciągu 8-miesięcznéj działalności swéj, miała „Westa" wniosków o zabezpieczenie 957, reprezentujących kapitał 946,400 tal.; z wniosków tych 24 zostało reponowanych, 51 odrzuconych, 5 cofniętych, nie załatwionych pozostało 62, tak że załatwiono 815 wniosków na ogólną sumę 805,100 talarów, przynoszących rocznéj premii około 25,000 talarów.

Że instytucja „Westy" prowadzoną jest oględnie i na zdrowych oparta zasadach, dowodem i ta okoliczność, jedyna w historji Towarzystw zabezpieczeń na

życie, że dotychczas ani jeden przypadek śmierci pomiędzy osobami u niéj zabezpieczonemi nie zaszedł, dla tego téż sytuacją finansową „Westy“ nazwać można stósunkowo korzystną. Działalnością swą organizacyjną zajęła „Westa“ już cały obszar Niemiec, z wyjątkiem Bawarji i Alzacji-Lotaryngji, a w służbie zewnętrznéj zatrudnia 5 inspektorów, subdyrektora, 24 generalnych agentów, a 520 specjalnych agentów.

Dla właścicieli certyfikatów „Westy“ ważną będzie wiadomość, że ponieważ 75% swych subskrypcji złożyli w wekslach płatnych za okazem, a weksle te podług ordynacji wekslowéj w dwóch latach tracą siłę wekslową, jeżeli przed upływem tego czasu nie zostaną do zapłaty zaprezentowane, Rada Zawiadowcza postanowiła użyć w tym celu środków prawem przepisanych.“

Na to doniesienie jedyne jedno „Ognisko“ odpowiedziało co następuje:

„O „Weście“, banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu, czytamy w Nrze 202 Dziennika Poznańskiego doniesienie, z którego się dowiadujemy, że sytuacją finansową „Westy“ nazwać można stósunkowo korzystną. Przyznajemy się, że tego wyrażenia, wyglądającego na niezgrabny zwrot dziennikarza, nie rozumiemy tam, gdzie cyframi jasno położenie wytłomaczyć można. „Westa“ jest instytucją finansową, operującą nie frazesami, lecz cyframi, i dla tego sądzimy, że się nie godzi dziennikarzom z podsłuchów puszczać w świat pięknie wystylizowanego perjodu, lecz że należy czekać, aż instytucja sama ogłosi cyfry we formie zwykłego bilansu, który, naszém zdaniem, z łatwością co kwartał mógłby być ogłaszanym. W takim razie wiedziałaby publiczność interesowana, co to znaczy „sytuacja finansowa stósunkowo korzystna.“ Ile nam wiadomo, to w ostatnich czasach prawie wszystkie banki zabezpieczeń ogłosiły swój bilans w cyfrach, jak to na specjalnie finansowe instytucje przystoi.

Dzienniki powinny się wstrzymywać z ogłoszeniami podobnego rodzaju, dopóki sama dyrekcja instytucji bilansu nie ogłosi.“

Redakcja „Ogniska“ uważała to doniesienie za rodzaj plotki dziennikarskiéj, aczkolwiek samo miejsce, na którém było wydrukowaném w „Dzienniku Poznańskim“, nie pozwala przypuszczać, aby było taką plotką, bo słusznie Redakcja „Ogniska“ podniosła, że instytucja finansowa nie powinna ogłaszać sprawozdań we frazesach, lecz w cyfrach. Frazes bowiem, że „sytuację finansową „Westy“ nazwać można stósunkowo korzystną“, wielce zaniepokoił umysły, strwożone finansowemi klęskami, jakie w przeciągu roku niejedną rodzinę u nas o chleb żebraczy przyprawiły. Frazes zacytowany przypomniał niejednemu zupełnie podobny frazes ogłoszony w ostatniém sprawozdaniu „Tellusa“, który wkrótce potém runął, pociągając za sobą byt i szczęście licznych familji; przypomniał uspokajające słowa niejednéj Spółki pożyczkowéj, która się potém tylko tém ratować mogła, że tym, którzy jéj krwawo zapracowany grosz powierzyli, aby się oprocentował i urosł w kapitalik mogący zabezpieczyć byt w starości, nie wypłaciła dywidendy, a to dla tego, że lekkomyślnie szafowała cudzym, jéj powierzonym groszem.

Dla tego to frazes ogłoszony w „Dzienniku“ o „Weście“ zaniepokoił umysły, a „Westa“, mimo odezwania się do niéj „Ogniska“, dotąd nietylko nic nie uczyniła, coby mogło umysły uspokoić, ale nadto rozesłała do tych, którzy swemi składkami się przyczynili do jéj utworzenia, odezwy, wzywające ich do zapłacenia dalszych 25% funduszu zakładowego.

Przy zakładaniu „Westy“ mówiono, „że przystępujący do jéj założenia wpłaci tylko 25% sumy, z jaką przystępuje, składając resztę w solawekslach, których nigdy zrealizować nie potrzeba.“ Na to mamy licznych świadków!

„Westa“ ściągając nowe 25% zakładowego kapitału, ma za sobą pruskie prawo wekslowe i odnośny paragraf statutu. To prawda, przeciwko któréj nic powiedzieć nie możemy. Wszakże wolno się zapytać Dyrekcji z Mefistofelesem: „A gdzie jest nobile verbum?“

Czyżby to „nobile verbum“ panów założycieli wcale nie miało obowiązywać?

Nie! Stajemy tu w obronie założycieli i twórców „Westy“, mających za sobą literę pruskiego prawa i brzmienie paragrafów statutu; każdy przed wpłaceniem do „Westy“ pierwszych 25% swéj części zakładowego kapitału, był powinien, nie uwzględniając ‚nobile verbum“, zajrzeć do wekslowego prawa i statutów, i podług tego postępować. „Westa“ więc teraz zupełnie prawnie postępuje, ściągając drugie 25% zakładowego kapitału.

Lecz i publiczność ma swoje prawa!

Publiczność ma prawo pytać się, gdzie się podziały pierwsze 50,000 tal., wpłaconych à conto zakładowego kapitału; publiczność ma prawo żądać rachunku z powierzonych publicznemu zakładowi kapitałów.

„Westa“ trzyma się paragrafów statutu; i my, w imieniu publiczności, tychże paragrafów trzymać się będziemy, z uwzględnieniem atoli broszurki Dr. Rejewskiego: „Motive zur Gründung der „Vesta.“ Podług zasad w téj broszurce głoszonych, „Westa“ ma być instytucją zastępującą niejako kasy oszczędności, czyli (str. 14) „ulepszonym systematem kas oszczędności.“ Oszczędności zaś najlepiéj uczą przykłady.

„Westa“ dotąd nie objaśniła, gdzie się podziały pierwsze 50,000 tal. zakładowego kapitału, a jednak rozejść się one musiały, skoro po upływie roku, mimo „stósunkowo korzystnéj sytuacji finansowéj“ żąda wpłaty dalszych 50,000 tal.

Vox populi, vox Dei.

Ludzie mówią, że się „Westa“ urządziła w lokalu, za który płaci 1000 tal. rocznie, kiedyby również wygodnie, choć mniéj wystawnie, mogła swoje bióro pomieścić w innym lokalu i na innéj, nie pierwszorzędnéj ulicy. Liczą, że tym sposobem „Westa“, wierna swemu zadaniu, byłaby oszczędziła plus minus 500 tal.

Ludzie daléj mówią, że w statutach nie ma nawet wzmianki o „subdyrekcji“, któréj bióro także kosztuje coś około 500 tal.

Następnie znów ludzie twierdzą, że § 22 statutu „Westy“ nic nie mówi o tém, aby prezes Rady Zawiadowczéj miał pobierać 2000 tal. rocznéj pensji, bo jéj w tym § tylko zapewniono 5% tantjemy od przewyżki rocznéj, o podziale któréj pomiędzy członków stanowi Zarząd. Zapewnia się jednak Radzie na ten cel minimum 1200 tal. — Od 1200 do 2000 tal. bardzo daleko, a nie sądzimy, aby brakujące 800 tal. członkowie Rady ze swojéj prywatnéj kieszeni dopłacali. Już tu zwracamy uwagę przyszłego Walnego Zebrania na to, że nie powinno udzielać deszarży za owe wbrew statutom wypłacone 800 tal., jak również nie powinno przyjmować całego ciężaru zbytkownego pomieszczenia „Westy“, oraz kosztów wynikłych z urządzenia subdyrekcji i jéj osobnego bióra, gdy już dyrektor pobiera 2500 tal.

Ludzie także mówią, że co do urzędników biórowych jest tam zbytek, mianowicie, że ich już była znaczna liczba, zanim jeszcze „Westa“ rozpoczęła swoje stósunkowo korzystne finansowe operacje. Lecz może być, że się publiczność myli co do tego punktu, że tu może nie jest potrzebną ścisła oszczędność, że nawet w przyszłości będzie potrzeba nierównie większéj liczby urzędników, gdy się zakres działania „Westy“ rozszerzy i że ona tymczasem uczy niedoświadczonych — golić, ale — na cudzéj brodzie! W innych gałęziach praktycznych zajęć ludzkich każdy uczy się swoim kosztem, sądzimy,

że koszt wyuczenia urzędników biorowych „Westy“ nie znajduje się w jéj budżecie.

Publiczność, o któréj, sądzimy, że „Westa“ nie powie z Berwińskim, że jest „głupia“, nie rozumie dla czego „Westa“, która rządowy konsens odebrała w październiku 1873 r., rozpoczęła swoje operacje dopiero w lutym bieżącego roku, dla czego zatém cztery miesiące straciła, karmiąc się tymczasem powierzonemi jéj od założycieli funduszami. Tu jednak musimy wystąpić w obronie instytucji.

„Westa“ potrzebowała znacznéj masy druków, z których największą część powierzyła najdroższéj „naukowéj czcionkarni“, a że ta przez cztery miesiące to wydrukowała, coby inna może przez tyleż dni lub tygodni była zrobiła, „Westa“ dopiero mogła rozpocząć swoje stósunkowo korzystne operacje w lutym 1874 r., zamiast w październiku 1873. Że w tém wina ciąży na Dyrekcji, jest rzeczą jasną. Trzeba było nie dać do „naukowéj czcionkarni“, lecz do zwykłéj drukarni, nie przedrażającéj rzeczy; trzeba téż było dać manuskrypt gotowy do druku, a nie poprawiać go dopiero, kiedy już miał pójść pod prasę, a „Westa“ byłaby nierównie prędzéj mogła rozpocząć swoje operacje, nie utrzymując się cudzym groszem, na inne rzeczy przeznaczonym.

I na ten punkt zwracamy uwagę przyszłego Walnego Zebrania, aby nie sankcjonowało niepotrzebnych wydatków. Było obowiązkiem Dyrekcji i Rady nadzorczéj zabezpieczyć się kontraktem od strat przez opóźnienie ze strony naukowego czcionkarza wynikłych, nie zaś spokojnie oczekiwać, aż on druki jemu oddane odstawi.

Mielibyśmy jeszcze niejedno do podniesienia, lecz na razie na powyższém poprzestajemy. Sądziliśmy zaś, że było naszym obowiązkiem dziennikarskim powyższe uchybienia publikować, aby przyszłe Walne Zebranie wiedziało, na co szczególnie zwrócić uwagę przy rewizji bilansu; chcielibyśmy bowiem, aby raz przysłowie, że „mądry Polak po szkodzie“, straciło swoje znaczenie, bo my mamy przekonanie, że prasa jest siłą, któréj zadaniem zapobiegać złemu w zarodzie.

* * *

Co do artykułu w Nr. 209 w Dzienniku Poznańskim „z Miasta“, otrzymujemy już po ustawieniu powyższego następujące: Nadesłane:

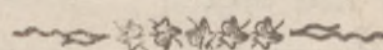
Bajka o niedźwiedziu i pustelniku — bardzo często w życiu się potwierdza i ninie znów się potwierdziła, gdyż jakiś niezgrabny obrońca „Westy“ starał się uspokoić w Dzienniku Poznańskim popłoch, — jaki wywołał artykulik w num. 202 tegoż pisma o tej instytucyi finansowej ogłoszony. Dla spędzenia muchy grożącej jakoby istnieniu instytucji, niedźwiedź przyjaciel ucieka się do ciężkiego kamienia argumentów, któremi w korespondencji, wydrukowanej w num. 209 Dzien. Pozn., jeszcze bardziej, niż poprzednio, straszy publiczność. Jeżeli dyrekcja „Westy“ upoważniła pisarza owego Communiqué do tego ogłoszenia, — to jej powiedzieć musimy, że nietęgi zrobiła wybór — bo niedźwiedź porównał „Westę z Tellusem, będącym w konkursie, z garbarnią wroniecką, która potrzebuje nowej serji akcji, albo przystąpić musi do likwidacji z bankiem Potocki, Kwilecki i Sp., niepłacącym dywidendy, choć tém naraża wielu na biedę przez rok cały; ze Spółkami ratującemi się tem, że dywidendy nie płacą, trzymając w swych portfelach wekslowe świstki, mające wartość makulatury; z bankiem włościańskim, mającym zupełnie inne podstawy bytu. Czemuż to już szanowny korespondent Dzien. Pozn. nie powiedział: „Szanowna Publiczności! „Westa“ to nie bank Kwistorpa, to nie akcyjna fabryka szuwaksu lub szczotek do zębów, których setki zbankrutowały w czasie ostatniego krachu! To instytucja najpewniejsza w świecie — tylko, że jeszcze potrzeba pieniędzy!“ Sens moralny tkwiący w jego artykule zupełnie odpowiada temu.

Porównanie też kosztów urządzania zagranicznych niemieckich towarzystw jest również nieszczęśliwém jak śmiészném, bo pokazuje się, że prawie wszystkie mniéj spotrzebowały na swoje urządzenia niż „Westa“, a głównie porównywał szan. korespondent — pięść z nosem; akcyjne towarzystwa z towarzystwem opartém na wzajemności. O Ogólném Galicyjskiém Towarzystwie wzajemnych zabezpieczeń zaś wyobrażenia nie ma, bo o niém nie byłby wspomniał. Jest to bowiem towarzystwo zabezpieczeń od ognia, gradu, transportów handlowych i na życie, a urządzenie jego tylko kosztowało 50,000 tal., bo tyle wynosi straszna suma 75,000 fl. w. a., gdy „Westa“ ma tylko tę ostatnią gałąź. I ono jest towarzystwem akcyjném.

Tegoż samego rodzaju jest frazes mający obronić wydatki „Westy“, objaśniający koszta rozmaite, mianowicie zaś ten, w którym dziennikowy korespondent powiada, że śledztwo, czy „Westa“ ma potrzebne fundusze, trwało długo, a co ją narażało na koszta administracyjne. Ludzie praktyczni pytają się, dla czego strugała rożenki, gdy jeszcze ptaszki latały? Zresztą zdaje się, że korespondent nie wie tego, co powszechnie jest wiadomém, że przy założeniu „Westy“ wiele wydatków by się było dało ominąć, gdyby nie była miała tak zręcznych organizatorów, jak ma obrońców w Dzienniku Poznańskim.

O ostatnim ustępie, celującym logicznością, milczeć musimy, bo to... „Gdyby“ i „z tego wynika“ należy — do Djablika.

Niedźwiedź zawsze zabija muchę na czole śpiącego pustelnika ciężkim kamieniem.



Niźnik winny.

Powiastka włoska tłomaczona ze Salwatora Farina.

(Ciąg dalszy.)

III.

Panie Donato! Panie Donato!...

Wołanie kobiece donośne a drżące prześcigało wśród gęstwin uciekającego. Donato przystanął. Obraca się. Tuż za nim na ścieżce pośpieszało wysmukłe, zgrabniuchne zjawisko brunetki, z twarzą Madon południowych, okrągłą, promieniącą potężném światłem tryskającém z dwóch dużych czarnych oczu. I ona przystanęła. Nie wie jak ułożyć swe rysy twarzy; po jéj usteczkach igra uroczy uśmiech, lecz wzrokiem jéj włada gwałtowny przestrach. Słyszała wystrzał i wnet po nim ujrzała uciekającego, przebiegającego ścieżkę którą podążała, — młodzieńca z rewolwerem w ręku i z włosami w nieładzie. Wiedziała co o tém sądzić. Donato również poznał panienkę. „Konstancja!“ Dostrzegł już, że owe duże wyraziste oczy wyczytały stan jego duszy.

Nie wie, czy pistolet trzymany silnie w dłoni, ma znów zwrócić ku sobie? Czy uciekać daléj? Czy się tłómaczyć? Czy się pytać?... Lecz Konstancja już rzuciła się na rewolwer, wyrwała mu go z ręki, zgromiła go swym wzrokiem i obejrzała się szukając swego towarzysza podróży... bo sama teraz nie wie co daléj począć... i odskoczyła od Donata na kilka kroków.

— Jeżeli mi nic złego tą szkaradą nie zrobisz, rzekła, to ci ją oddam — i schowała pistolet po za siebie.

Donato stał na miejscu ogłupiony. Patrzy w nią zmięszany. Oblicze jego wzbudza litość. W oczach podpuchłych błysła mu łza. Z niewyspania, z całego biegu rzeczy fatalnéj téj nocy i poranka — widoczném jest jego nieszczęście. Donato odwrócił głowę. Sili się na uśmiech i wysiliwszy się na najniezręczniejszą grzeczność, na jaką się tylko zdobyć można, rzekł:

— Dzień dobry pani! — Jak się pani miewasz? i podał jéj rękę.

Konstancja uchwyciła dłoń podaną i silnie ją trzymając lewą ręką — wypytuje go wzrokiem i przestraszoném obliczem.

Donato wacha się z odpowiedzią. Czuje potrzebę wylania zupełnego duszy z całą serdeczną, dziecięcą szczerością. Nagli go jeden instynkt do wyspowiadania się, — ale inny silniejszy oniemia go. Walka ta trwa krótko. Pełen współczucia wzrok dziewicy przedziera tę zasłonę. Młodzian odkrywa jéj całe swe nieszczęście, — swój zamiar, — całą niezmierną swą rozpacz.

— Niebo cię tu zesyła, dodał drżąc cały. Nie wiem czemu natychmiast uczułem konieczność, ażebym pani opisał: co się w méj duszy dzieje. To wiem, że tegobym nikomu a nikomu w świecie nie wypowiedział!

— Tak jest, Bóg mnie tu przysłał, odrzekła Konstancja smętnie bardzo, ale łagodnie. Bóg to sprawił, że złamaliśmy dyszel u naszéj karety na żwirówce, — On zniewolił mego wuja, ażeby się wrócił do najbliższego domostwa celem dyszla naprawy; a mnie Bóg natchnął, ażebym przeszła tędy przez ten lasek, nibyto dla oszczędzenia sobie trzech ćwierci drogi. On mi kazał stanąć tu właśnie w tém miejscu, dzisiaj, właśnie w tę godzinę i minutę, gdy tymczasem pan Norbert i Marynia oczekują nas dopiero jutro... Tak jest! to wszystko Bóg tak zrządził. To nie może być przypadkiem! Tak, On wyrządził nam jednę przykrość, jednę niedogodność, ażebyśmy zapobiegli okropnemu nieszczęściu... i jego skutkom.

Donato przysłuchiwał się téj mowie z uczuciem, z jakiém się słucha najprzecudniejszéj muzyki. Wpatruje się w piękne jéj oblicze, jakby się wpatrywał w objawionego nieb anioła. A teraz, gdy już wszystko wypowiedział i wysłuchał, uczuł się dziwnie rozweselonym. Prawie zapomniał o sobie. Pochwyca znów coś z owych tysiąca fantazji minionéj nocy, rozweselonych trylami jaskółek przelatujących, lecz fantazji ozłoconych przepysznym blaskiem porannego słońca. Zdaje mu się, że nigdy w niczém nic nie zawinił; że co przeżył — to było szkaradnym snem tylko; lecz teraz ocucony stoi w obec uśmiechającéj się do niego natury, w obec osoby całą duszą ukochanéj, w obec tych czarujących oczu, przez które weń wpływa jakieś dotąd mu nieznane, niepojęte błogie wrażenie, coś niby jakieś święto, niby jakaś jasność. Wszelkie siły duszy jego zapomliwéj szepcą mu jeden wyraz, który echem powtarzają wszystkie ptaszyn głosy w około niego, który zdaje mu się że błyska z wszystkich drżących kropel rosy, i który go owiewa orzeźwiającym podmuchem wietrzyku. Tym wyrazem jest: „kochaj! kochaj ją!“

Kochaj ją! Potrzebujesz błogich pęt, któreby cię znów przywiązały do życia, gdy już święte uczucia dla twych dotąd najdroższych potargałeś swą klęską, a które cię tylko w ciemności śmierci wpychają. Potrzebujesz uczucia nowego tyrannego, któreby całą twą duszę opanowało gwałtownie i w sercu twém zdusiło czcze strachy. Potrzebujesz myśli potężnéj, któraby zatarła wszelką myśl inną; trzeba ci zachwycającego cię zjawienia świetlanego, coby ci rozproszyło owe chmary czarnych widm i poczwar! Zapełnij w jedném mgnieniu oka ową próżnię twych lat dwudziestu i dwóch. Poznaj co to za uroczystość serca ów głos wewnętrzny: „kocham ją!“

Są bicia serca, co zapełniają całą naszą istność. Idźcie podsłuchać starość, cofającą się myślą w minione młodości lata, jak ona orzeka: „wtedy to było życie! owego dnia, owéj chwili! — te boleści i te rozkosze tylko są moje! wszystko inne należy czasowi i światu!“

Jeżeli nic nie możemy wyczytać w obliczu Donata, to dla tego, że Konstancja puściła mu rękę. On chce ją uchwycić w obie swe dłonie. Ona się uśmiecha.

— Słuchaj! odezwała się dziewica stanowczym tonem, który ją czynił jeszcze piękniejszą. Słuchaj! ja pana lubię, bośmy, mogę to powiedzieć, bośmy się razem prawie wychowali. Czy sądzisz pan, że mam prawo zajmować się jego zmartwieniem?

Wzrokiem, ruchem, drżeniem ust Donato wrzeszczy: masz, masz, masz:... ale słowem tego wygłosić nie może.

— Więc, mówi daléj dziewica, gdy mi pan przyznajesz to prawo, — mam i prawo pomyśleć o sposobie uśmierzenia tego zmartwienia?

— Nie ma żadnego!... wyjęknął młodzian. Jeden tylko...

Konstancja drgnęła.

— Powiedz!...

Lecz Donato się zmięszał. Rumieni się. Blednieje. Wzrok utkwił w ziemię. Kręcąc głową cichutko, przerywanie sobie powtarza: „nie ma, nie ma żadnego!...

— Jeżeli tak, — to pozwól pan sobie powiedzieć, że mam jeden.

— Jaki?

— Najprostszy: zapłacić pięć tysięcy lir w dniu wypłaty, — a nie mówić ani słowa o tém ojcu, a potém pilnie pracować, ażeby odzyskać przegrane pieniądze... i więcéj jeszcze.

— A zkąd pieniędzy?

— Trzeba je pożyczyć.

Młodzieniec kołysze głową.

— Wexel ubiega za ośm dni.

— I za ośm dni trzeba mieć te pięć tysięcy lir — i będziemy je mieli. Jestem bogatą. Tak wszyscy utrzymują w méj okolicy. Nie mam już ojca od lat kilku, a w ubiegłym roku i matka mnie odumarła. Pozostał mi atoli wuj, mój opiekun. Jutro będzie w Romano. Opowiem mu wszystko. Poproszę go o przysiężenie mi, że dotrzyma tajemnicy w obec pana Norberta...

W źrenicach Donata błyskają wdzięczność i miłość, lecz duch mu znowu słabnie.

— Niemożliwe!... nie mogę przyjąć...

— Boś pan za dumny.

— Podobne poświęcenie się ..

— To nie poświęcenie się. Wujaszek mój jest z tych wujów rasy, co to cudów dokazują, żeby tylko zadowolnić swe siostrzeniczki. Nie odmówi mi. Zaprzysięgnie wszystko o co go poproszę i znajdzie sposób ażeby mi zapewnić mój kapitał. Pójdzie i do notarjusza, gdy tego uzna potrzebę. Jedném słowem rzecz odbędzie się w porządku. Pan nie znasz mego wuja, bo dopiero od pół roku zakupił w téj okolicy przędzalnię. Gdybyś go pan znał — przywtórzyłbyś mi, że rzecz ta już jest odrobiona.

Umysł Donata oblegają tysiące pomysłów, tysiące mrzonek. Nie wie co odpowiedzieć. Tymczasem topi swój zdumiały wzrok w źrenicach pałających dziewicy. Ta nie domyślając się tego, uśmiecha mu się.

— Więcéj już o tém nie mówmy, rzekła Konstancja. To sprawa ubita.

I podaje mu swoją rączkę. Młodzieniec ujmuje ją smętnie i podnosi do swych ust. Konstancja zezwala na to, schylając swą główkę, spuszczając oczy.

— A teraz co zrobić z tą bronią? rzekła łagodnym ale rozkazującym tonem, ukazując mu rewolwer, który dotąd trzymała po za sobą.

— Pozwól pani — trzeba go przestrzelić. To rzekłszy sięgnął poń.

Konstancja nie pozwoliła mu dotknąć się broni — ale zapytała: „jak?“

— Palcem ściągnąć ku sobie języczek.

Odpychając Donata lewą, wyciągnęła prawą rękę, oddalając się od rewolweru ile mogła pochyleniem ciała i zamrużywszy oczy ciągnęła co sił paluszkiem za języczek. Jeden strzał, — dwa, — trzy... a za każdym rzucała się w tył, zacinała usta, zawierała powieki i uśmiechała się po wystrzale. Gdy już rewolwer był bez naboju, oddała go Donatowi i zawiesiła mu się u ramienia.

Ruszyli w pochód milcząco. Tuż przy rąbku lasku zatrzymała się i rzekła do Donata:

— Nie oświadczyłeś mi pan, że przyjmujesz moją pożyczkę? Ninie uczyń to, bo już potém nie będziemy ani słowa o tém mówili.

Studentowi wszechnicy zdaje się wracać jakoś czas wymowy dzieciaka. Zaczyna zdanie, urywa je, — rozpoczyna na nowo — i zkończyć go nie umie.

— Paniś wiele dla mnie zrobiła! wystękał ostatecznie. Ze śmierci wybawiłaś mnie dla życia. Zrób mi jeszcze więcéj...

— Co takiego? odrzekła Konstancja uśmiechając się.

— Pozwól... żebym panię pocałował w czoło...

A gdy się Konstancja zapłoniła, dodał:

— Nie możesz pani tego odmówić zmartwychpowstałemu.

Tu chłopczyk wiejski, towarzyszący dotąd Konstancji, zatrzymał się na te słowa — i ciekawie przyglądał się z jakimś przestrachem Donatowi.

— Chodź tu, rzekł mu Donato, słuchając jakiegoś natchnienia.

Chłopiec się zbliża z obawą.

— Zamknij oczy — i zgadnij jaki to pieniądz.

Chłopię jest pewném tego że odgadnie, a chce sumiennie grosz sobie zarobić. Zacisnęło oczy. Wtedy to Konstancja uśmiechając się podała czoło Donatowi — który złożył na nie pocałunek długi i gorący.

— Jest to soldo! (półtrzecia grosza) zawołał chłopak. Nie odebrawszy zaraz odpowiedzi: dwa soldy, — dwa soldy! — poprawił się natychmiast.

Tym razem już odgadł — lecz w nagrodę otrzymał oprócz tych dwóch jeszcze sześć innych. Radość jego była głęboka, czysta, niema. Uchwycił za swój skarb nie powiedziawszy słowa — i puścił się co sił starczy z powrotem w głąb lasku. — Tymczasem Konstancja i Donato postępowali otwartą drogą wiodącą od kościoła do Romano. Ona zawisła na jego ramieniu. On podtrzymywał ją. Opowiadali sobie swe wrażenia i uczucia dla innych wcale niezrozumiałą mową — bo milczeniem.

IV.

Minęło sześć dni. Mija siódmy. Donato nigdy tak pilnie nie uczęszczał na odczyty profesorów. Nigdy nie uważał tak skwapliwie na wykłady. Gdyby historyjka o sześciu tysięcach lir nie była obiegła w pierwszych zaraz dwudziestu czterech godzinach z ust do ust szkólnéj uczącéj się rzeszy, — byliby najniezawodniéj jego koledzy welocypedyści podali w szyderstwo jego świętoszkowy zapał do nauk krótko przed examinami. Lecz nikt nie uwierzy, o ile przez te przegrane sześć tysięcy lir w stosa pan Donato wygrał w uszanowaniu i szacunku swych kolężków. Teraz już mógł postępować sobie, jak mu się żywnie widziało, — nawet i w święta mógł był sobie uczęszczać na odczyty, stać się głuchoniemym podczas całéj lekcji, rysować co mu się podobało ołówkiem po pożyczanych mu zeszytach, pożerać wzrokiem swych profesorów, — a po skończonéj lekcji pozostać niby przygwożdżony do ławy, — i porządkować swoje własne zapiski. Nawet wolno mu było nie pokazywać się na oczy ani w kawiarni, ani w zbornych miejscach, — i czynił to w istocie, — i nikt a nikt z kolegów tego mu za zbrodnię nie poczytywał. To jedyne jedno wydarzenie, wiekopomne pomiędzy uczniami szkoły aplikacyjnéj, — ten jedyny kon (fakt) że przegrał sześć tysięcy lir i że je w najznaczniejszéj części nie zapłacił, — wystarczył, że dziś już nic nie widziano w nim śmiechu godnego — i że wyrosł przynajmniéj na jakie dobre dziesięć łokci po nad poziom gminu.

Tyle zimnéj krwi, zdawało się, że odznacza umysł wyjątkowy. Postępowanie jego w szkole nazajutrz owego nieszczęsnego dnia stosikowego — jak i w przededniu złowrogiego dnia wypłaty wexlu, — to przybierało postać bohaterską.

To jest konem — że Donato miał głowę przepełnioną, a sakiewkę próżniuteńką. Opuszczając domowe ognisko zdał sobie już sprawę w błyskawicowym rachunku sumienia o téj najprawdziwszéj prawdzie, — że mu ani szeląg przy duszy nie został; lecz pan ojciec nie zapytał się o to, a pan synek nie śmiał się upomnieć. Tak więc Donato z domu wyjechał i przybył do Medjolanu i tak żył sześć długich dni i prawie siódmy z tysiącami myśli i projektów w głowie i z jeszcze bogatszym nowiuteńkim skarbem w sercu, — ale zgoła bez zdawkowéj monety. Na szczęście, że sceptycyzm gospodarzy restauracji i cukierń nigdy nie ostoi się w obec serdecznego zapału, z jakim studenci zwykli pożerać bułki i inne jadalne rzeczy. We wieku, w którym jesteśmy zgoła do niczego, oprócz do spożywania, a w którym się spożywa z taką sumiennością — jakoś łatwo się najeść na kredyt. Gdy się już przestało być studentem, to zbliżyć się do kantoru takiego gospodarza i poprosić go o obiad pod pozorem: że się nie mogło otrzymać pieniędzy, bo jakiego opiekuna nie ma w domu, albo że pieniądze z domu nie nadeszły dziś, ale jutro przyjdą najniezawodniéj, choćby to się powtarzało i kilkanaście razy, — to takie przymówki o pożywienie się byłyby bardzo najeżone trudnościami i wątpliwościami; ale mającym lat dwadzieścia uchodzą jako rzecz bardzo prosta i prawdziwa.

Więc też i Donato, przezwyciężywszy niejakie nader niewyraźne zachcianki zadania sobie pokuty za swe grzechy twardym postem, — chadzał sumiennie zaspokajać swój wyborny apetyt, naturalnie: na kredyt.

Co zaś do lekcji zastósowanéj mechaniki, nikt nie uwierzy, — a mimo to przykładał się do nich jak najusilniéj. Na pewnika zastałeś go na miejscu w przyzwoitym czasie — nieruchomego, patrzącego oko w oko profesorowi. To jednak bynajmniéj nie przeszkadzało, że Donato bardzo często osadzał na koszu i profesora i jego genjalną wiedzę, a pędził myślą do Romano, ażeby jak najgruntowniéj pojąć całą siłę uroku pewnéj prześlicznych rysów twarzyczki, — albo żeby jak najzręczniéj składać i rozbierać najzawilsze układy i wynajdywać najsztuczniejsze uczłonkowanie ruchu i trwania w silni serdecznéj swych uczuć a w bijącém może dla niego czyjemś serduszku. Całą jego istność poruszało tylko jedyne jedno koło, nie wiedział czy odśrodkową, czy dośrodkową siłą, ale tego był pewnym, że wprawiło go w wir jakiś przepotężny. Tém kołem był dla niego urok otaczający Konstancję, a tym wirem była jego ku niéj miłość, — a okręcał się tylko około jednéj wiru osi, to jest około wiekopomnego jemu pocałunku.

O gdyby tylko mógł był wówczas nadać kierunek sile swych najgorętszych życzeń, i gdyby wtedy umiał był zkierować siłę wzajemnie odpowiednią tego anioławybawiciela, — nie byłoby się skończyło na jednym tylko pocałunku, złożonym na ślicznèm jéj czole, ale ten całus miałby chmarę innych, a może wieczny ruch potężnych urokiem i smacznością starć ust jego, z nieskończenie śliczniejszemi od jéj czoła — usteczkami!... Te jego kombinacje zastósowanéj mechaniki byłyby samego jego genjalnego profesora w najgłębsze zdumienie wprawiły — że go tak doskonale pojmował!

Konstancję tedy widział okręcającą się w okół siebie wszędzie i zawsze, niby cień własny, od niego nierozłączny. Wykonanie takiego całusa to było jedynym jego celem. On sam, to raz truchlał z przestrachu przed swą tyle zuchwałą myślą; to znów przysięgał sobie, że się wzniesie do tego najwyższego stopnia bohatyrstwa. Czasami jednak uśmiechał się nad tkliwą czułością Maryni, gdy spostrzegła łóżko swego braciszka w onym dniu przez noc nietknięte. Czasami uderzał się ręką w usta, żeby mu się uspokoił jaki wyrzut sumienia. Czuł w swém sercu rodzące się śmiałe rycerskich czynów pomysły. Obiecywał sobie, że dojdzie do wielkich bogactw. Nieraz szalał z niecierpliwości, że jeszcze brakowało dwóch godzin do chwili codziennie zamierzanego odjazdu w celu widzenia się z kimś, i że tyle, tyle najdroższego czasu marnuje!... I cóżby złego się było stało, gdyby był poprosił Kostusię jeszcze o jeden całus i jeszcze jeden — i jeszcze jeden?... Toć jeden całus nie zubożyłby jéj, — a jego byłby w tyle rozkoszy zbogacił!... Tak się zdawało Donatowi. „A że ta natrętna Marynia nigdy jéj nie opuszcza, trzeba ją będzie jakoś za rękę odprowadzić... Każę jéj zamknąć oczy — i powtórzy się to zwiedzenie, które mi się tak genjalnie nawinęło i udało...“

A Konstancja? Doczytałaż się ona czego w sercu młodziana? Czy widzi ona tę miłość, przed tygodniem narodzoną w jéj obecności, a która przez jéj nieobecność tak olbrzymio wybujała? Czułaż ona jego nieskończoną wdzięczność? jego skruchę? jego nowe szczęście? jego obawy piekielne: „a nuż ona mnie nie rozumie?!“ jego szalone pragnienie ażeby się mógł dać jéj poznać muzyką słów i słowami muzyki, ściśnieniem ręki i siłą wzroku — a nadewszystko całusami, całusami!... Karminowe jéj usteczka uśmiechały się jakoś. Czarne gwiazdowe jéj oczy rzucały wejrzenia krótkie i wesołe. Za krótkie — i za wesołe! Aj, aj!... Ani śladu nawet miłosnych kłopotów w téj uroczéj, anielskiéj twarzyczce! Gdy wówczas była w odwiedzinach w Romano i przysłano po nią jéj murzynka i jéj kolaskę zaprzężoną w trzy dzielne, stare, doświadczone a wesołe i czyściutkie konie, — i gdy trzeba się było żegnać — wtedy jednak Kostusia jakoś silniéj przyciskała do serca Marynię i starego jéj ojca, — a ci przyjmowali te jéj serdeczne uściski jako swe przynależności. Staruszek rad z tego hołdu, ściskał rączkę Konstancji i żegnał: Niech cię Bóg zachowa panieneczko! — Ona zaś wsiadłszy i ująwszy lejce, z kopyta galopem puściła konie; kolasa skacząc po bruku, rzucała się silnie, a w obec zgromadzonych ciekawych wiejskich widzów dziarskie staruszki przez publiczność podziwiane i gnane świstającym po nad niemi biczem, dokazywały cudów zupełnie bezpiecznych jaréj starości.

Przy skręcie jedynéj drogi wiodącéj w pola, Donato stracił z oczu i gościa, i kolaskę i murzynka razem. I to wszystko odsyłało jego szalony młodzieńczy zapał — do innego razu. On zaś co chwilę to więcéj przybierał swoje zwykłe najrozsądniejsze postępowanie...

Zaraz potém Donato porzucał tę trójcę swą opiekuńczą, ujeżdżając z Romano żwirowym traktem do swéj klasy, ażeby tamże skinieniem głowy przytakiwać swemu profesorowi, że jego bardzo mądra mechanika zupełnie cała mu właziła wprost do mózgownicy, — i żeby za chwilkę potém siadać z natężeniem, wprawiającém w najkorniejszą poszanę jego kolegów, jaką nabierali dla jego genjalnéj zdolności i arcybystrego pojmowania najzawilszéj i najniezrozumialszéj dla nich nauki, — którą Donato z niesłychanie mądrą i poważną miną spisywał w swoje zeszyty w następne formułki: Konstantyno, królowo méj duszy!! — Konstancjo, o mój aniele!! — Kostusiu, o moje ty życie!! — Kociuniu! o ty moja pieszczotko!!... I tak daléj zjeżdżał do poufałości dla niéj, — bynajmniéj nie szczędząc jéj najbujniejszych retoryki porywów, na których nawet studentom matematyki wcale nie zbywa, chociaż je chowają pomiędzy najpospolitsze i najprostsze prawdy rozumu, — na wielkie uroczystości uczucia.

Otóż tak ubiegło panu Donatowi całe sześć dni i tak mu ubiegał dzień siódmy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Król, sędzia, rycerz.

Dramat w 3 aktach Augustyna Moreta.

Przetłomaczył
Karól Pieńkowski

(Ciąg dalszy).

D. Leonora.
Postępować tak nikczemnie,
Ty brutalu, grubijanie!

Peregil (poważnie).
Jam marszałkiem teraz dworu.

D. Leonora.
Zemsta mi za miłość stanie!

D. Tello.
Peregilu — czyś powiedział?

Pereril.
Nic nie złamie w niéj uporu.

D. Leonora.
Słuchaj-że mnie, teraz przedział
Między nami stanął nowy,
Na mą miłość ty plwasz wzgardą
Brutalnemi bryzgasz słowy —
Ja — ukorzę duszę hardą!
Gdybyś nie był taki dumny
Gdybyś myślał mniéj o sobie
Tobyś wiedział, że rozumny
Tyran, w grzecznéj słów ozdobie
Pokrzywdzonym jad podaje. —
Nim uderzy, wpierw swą rękę
W rękawiczkę stroi białą!...
I że często przykrą mękę,
Ból co piersi nożem kraje,
Zemsta, która mu należy —
Serce nasze zapomniało
Dla grzeczności... To uśmierzy
Uspokoi...

D. Tello (przerywając)
Dość już tego!
(Z naciskiem)
Ja się z tobą nie ożenię!...
D. Leonora.
Czy już nic przyjemniejszego
Mi nie powiesz?
D. Tello.
Słowa cenię
I używam ich dobitnie.
D. Leonora.
Drżyj, bo zemstą gniew mój zgrzytnie!
D. Tello.
Któż wspomagać będzie ciebie?
D. Leonora.
Sprawiedliwość znajdę wszędzie.
D. Tello.
Hm... na ziemi... trudno będzie,
W niebie?... kto wie? może w niebie.
D. Leonora.
Tam dopiero?...
Peregil (na stronie).
Zbyt łaskawy!...
Wielki tydzień! — Któż odgadnie
Czy nie postne to potrawy
Służyć cnocie tak paradnie?
D. Leonora.
Tak więc słowa moje próżne?
D. Tello.
Ach! od chęci — posiadanie
Zwykle bywa bardzo różne.
D. Leonora.
A... dla ciebie jest różnica...
Peregil.
Przykład: post i polędwica.
D. Tello.
Nudzi już mię niesłychanie!
D. Leonora.
Czyż miłośne twe westchnienia?
D. Tello (przerywając).
Wiesz że trwały czas dość krótki.
D. Leonora.
Tyś napierał bez wytchnienia
Jam uległa...
D. Tello.
Dziś znasz skutki
Nierozwagi.
D. Leonora.
I uczucia tak gorące...
Słowo twoje miłe... śpiewne...
D. Tello.
No... z początku... tak... zapewne.
W końcu...
D. Leonora.
Co?...
D. Tello.
Djablo nudzące.
Di Leonora.
Dla cię miłość była nudną?
Peregil.
Ach te swary nie uchodzą!
Pani do milczenia trudną...
Wiedz, że gniewy dźwiękom szkodzą!

Scena II.

Ciż sami i Inez.

Inez.
Leonoro!...
D. Leonora.
Cóż takiego?
Inez.
Wraz nadchodzą narzeczeni.
D. Leonora.
Smutną wieścisz mi nowinę.
Inez.
Jakto?
D. Leonora.
We łzach się rozpłynę.
Widok szczęścia krew zapieni...
Tello zbudził, Tello zdławił
Wszystkie w sercu mém nadzieje!...
Dzisiaj... rozpacz mi zostawił
Z żalu się hańbiąco śmieje!
Inez (do Peregila).
Łotrze, jakże z moją cnotą?
Peregil.
Twoją?
Inez.
Aha — chcę zapłaty.
Peregil.
W srebrze — miedzi?
Inez.
Nawet złoto
Nie wystarczy.
Peregil.
O, za katy
Jakże droga!
Inez.
Ksiądz i twoje
Mogą tylko spłacić dłonie.
Peregiz.
Rękę oprzeć na twym grzbiecie
Dawno już życzeniem mojém.
Inez.
Milczeć głupcze!
D. Leonora.
Toż na świecie
Król Kastylji jeszcze żyje
On poskramia złość wazali.
D. Teilo.
Powiedz: czyjeż głosy, czyje
Mogą grandowi Alkali
Dumnie słać rozkazy z góry?
Peregil.
Albo i mnie nawet, który
Jestem sługą Ekscelencji.
(po chwili)
Lecz muzyki z głosów pieniem
Pomięszane słyszę dźwięki.
Jakże będzie z wykradzeniem?
D. Tello.
Pst... nie ujdzie mojéj ręki.
(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

— **„Djablik“**, pismo humorystyczne dwutygodniowe ma wychodzić od 1 października b r. w Poznaniu.

Charakterystycznym pojawem jest, że pismo to dotąd jeszcze nie mając ani jednego zredagowanego numeru, już spotykają sądy najuprzedzeńsze, ohydzające i wypierają się jego współpracownictwa — niby grzechu śmiertelnego!...

Lubo nie znamy nikogo z jego redakcji osobiście, i przypuszczamy na chwilę, że tam zasiadają same potwory moralności i nieudolności, — to nie jest ani uczciwą, ani logiczną nawet rzeczą o czémś sądzić, czego jeszcze nie ma.

Gdybyśmy mieli przetrząsać na szali moralności lub literackiéj potęgi redakcje naszych pism, — kto wie czyby nasze najpoważniejsze i najnabożniejsze pisma ostały się na téj wysokości, na jakiéj stoją. Dzięki atoli po za redakcyjnym siłom, są one powagami i są użyteczne, bo wspierają je abonenci

Czemużby i tu być tak nie mogło?

Jak mogli sumiennie Przegląd Lwowski, Ognisko i Wiarus sądzić tak surowo i zabijać w reputacji jeszcze nie narodzone pismo?

Ta właśnie niesprawiedliwość powodowała nas do przyrzeczenia Djablikowi naszego współpracownictwa bezpłatnego, pod warunkiem, że nie będzie szarpało osób prywatnych, że się trzymać będzie zasad przyzwoitości i moralności.

Słabe są siły nasze, ale silna jest zasada wyrzeczona przez Krasińskiego:

Kto iskrami z czarta kuźni
Chce przepalić czarta moc,
Ten — świat w gorszą wpycha noc,
Ten — mądrości wiecznéj bluźni!

Czemuż pogardą pluć choćby i najnieudolniejszym i złym, skoro uczciwą drogą pragną się przysłużyć krajowi? Toż zbrodnią ani hańbą nie jest wydawnictwo tego rodzaju!...

Jeżeli się wie o tém, iż siły redakcyjne są nieodpowiednie celowi, — tém więcéj powinienby każdy dbały o reputację umysłową swego społeczeństwa, nie zabijać przedsiębiorstwa pogardą przedwczesną, ale albo starać się o to, iżby ono wcale się nie pojawiło, albo wspierać je swym dowcipem i rozumem o ile tylko można. Przypominamy, że i wzór nasz, Chrystus, moralności nie ogłaszał przez uczonych, ani przez znakomitości Jeruzalemy, ale przez prostaczków Betsaidy i Kaferneum.

Dopóki więc „Djablik“ jawnie nie zgrzeszy — dopóty nań kamieniem nie rzucimy. Dziś życzymy mu z całego serca, ażeby zdołał skupić na swych kartkach wszelki dowcip naszych znanych i nieznanych Wojtusiów i Kalasantych, — a dając ze siebie pierwszy przykład, upraszamy miejscowe nasze potęgi humorystyczne o to, ażeby Djablikowi nie dozwoliły: uderzać płaskością i brakiem prostszych nawet względów towarzyskich i obyczajowych, i zmonopolizować same osobistości i jadowite przycinki, jak to prorokuje: Przegląd lwowski, — ale żeby nas mógł rozśmieszał i pocieszać i odstraszać od niesprawiedliwości i od takich uprzedzonych sądów — jakie dziś na niego miotają.

Sydałw Chochlik.

* * *

Do „Szczutka“,

lwowskiego pisma satyryczno-politycznego, na jego wybryki „Zdrowego Rozumu“ w Nr. 36, roczniku IV, wymierzone przeciw „Tygodnikowi Wielkopolskiemu“:

Mówią: „Niedźwiedź jak i prosię
Z bydląt są najczulsze w nosie;
W nos palnąwszy te bestyje
Lada dzieciuch je ubije.“

Zdradza własna broń czasami!
Szczutku! walcząc sam szczutkami
Gdym ci przczutka dał po nosie:
Mdlejesz jak — niedźwiedź i prosię!

Sydałw Chochlik.

* * *

Xiążki nadesłane Redakcji Tyg. Wielkopolskiego:

Danielewski Ignacy. Polski kalendarz katolicki dla kochanych wiarusów Wielkiego X. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Szląska, na rok zwyczajny 1875, przez Majstra od Przyjaciela Ludu. Poznań, 1874. J. K. Żupański, in 4to, min. 88 str. Cena 1 złp.

Kołaczkowski Juljan, inżynier. Słownik rytowników polskich, tudzież obcych w Polsce zamieszkałych lub czasowo w niéj przebywających od najdawniejszych do najnowszych czasów, jako przyczynek do historji sztuk pięknych w Polsce. Lwów, 1874. Z drukarni Towarzystwa Imienia Szewczeńki, pod zarządem F. Sarnickiego. 8o maj. 78 str. — Piękne wydanie. Przeglądając nie znaleźliśmy poznańskiego rytownika Belowa, kompozytora i rytownika znanego medalu na 300 jubileusz Kopernika, wydany staraniem Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, oraz innych płyt, n. p. ilustracji tytułowéj kartki do wydania „Pieśni o ziemi naszéj“ W. Pola, wydanie pierwsze J. K. Żupańskiego. Daléj Chotomski Ferdynand, Rusin, ur. 1799, pułkownik b. w. p., doktor medyc. fak. paryzkiego, rytował kilkanaście średnich płyt na stali i miedzi, n. p. Widok miasta i zamku Weinsberg, krajobraz w Pyrenejach według akwarelli Karóla Hoffmann. Wodociąg wybudowany przez Mikołaja Kopernika pod Frauenburgiem i wiele drobnych, znakomicie wykonanych. Wszystkie bardzo rzadkie, — nie były w handlu. — Jaroczyńskiego, Toruńczanina, arcydzieła rytownicze są: „Portret“ (nieznanego) według Rembrandta i portret Tytusa hr. Działyńskiego, staloryty.

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).